

Daniel Clark - Atrapa

Wojciech Horzowski

Przybycie

Zmęczone słońce zmierzało już ku odpoczynkowi. Przez ponad dwie godziny jechałem prostą, asfaltową drogą, trzymając dłoń na kierownicy. Po obu stronach otaczały mnie typowe dla Luizjany bagna. Przerzedzone, pozbawione liści krzaki niemal całkowicie odsłaniały ciągnące się po horyzont lustro wody, zacierając różnice między niebem a ziemią. Pojazd niemal sam się prowadził. To zawsze jest dla mnie okazja do przemyśleń. Można to wręcz nazwać medytacją za kółkiem. Nigdzie indziej nie mam takiego spokoju jak we własnym samochodzie w czasie podróży.

Dziś mam na tapecie swoją rozterkę dotyczącą powrotu. Mojego powrotu. Minęło kilka miesięcy odkąd wróciłem do rodzinnego miasteczka.

– Czy to była dobra decyzja? Cały czas się waham. Znam to miasto, ono zna mnie, ludzie też mnie znają. Tylko czy ja jeszcze znam ich? Inna sprawa, że rezygnacja ze stanowiska wojskowego prokuratora na rzecz detektywa w lokalnej policji – tego chyba nie można nazwać awansem. Choć muszę przyznać, że mam zdecydowanie mniej pracy, a więcej czasu dla siebie. Może właśnie tego było mi trzeba?

Spojrzałem w lusterko. Twarz ciągle przemęczona, chociaż odkąd tu jestem dobrze się wysypiam. Pewnie to wieloletnie

Wojciech Horzowski

umęczenie już nigdy nie zniknie. Zaczesalem dłonią włosy na bok. Tylko z przyzwyczajenia, bo akurat je zawsze miałem ułożone idealnie. Przejechałem dłonią po twarzy, poczułem kilkudniowy zarost. Poprawiłem niebieski krawat na białej koszuli, przykrytej granatową marynarką.

Słońce schodziło coraz niżej, rozświetlając zarówno niebo, jak i stojącą pod nim wodę na piękny, pomarańczowy kolor. Ciągłe przeplatały mi się różne myśli, aż w końcu, pośród mokrych pustkowi, z letargu wyrwał mnie widok lasu. Cel mojej podróży. Wyglądało to co najmniej dziwnie. Prosta droga, po horyzont stojąca woda, a pośród tego wszystkiego – las z wysokimi drzewami, o powierzchni dosłownie tysiąca akrów.

– Mam nadzieję, że prowadzi do niego jakaś sensowna droga – powiedziałem, chociaż w samochodzie nikogo ze mną nie było.

Jadąc jeszcze przez kilkanaście minut, w końcu zobaczyłem zjazd w prawo. Skręciłem. Na szczęście droga, mimo iż wyglądała na bardzo starą, nieremontowaną od dziesięcioleci, ciągle była w niezłym stanie. Choć już o wiele bardziej kręta. Mogłem zapomnieć o relaksie w czasie jazdy. Zresztą bardzo szybko znalazłem się pomiędzy drzewami, naprawdę wysokimi, na kilkadziesiąt metrów. Wśród nich rosły gęste, zielone krzaki, które skutecznie wszystko zasłaniały. Zachód słońca oraz otaczające mnie z każdej strony zarośla sprawiały, że dochodziło tu niewiele światła, było znacznie ciemniej niż poza lasem. Na szczęście mogłem się jeszcze obejść bez świateł w samochodzie. Za jednym z zakrętów zobaczyłem

wjazd na teren posiadłości, policyjny samochód oraz stojących przy nim dwóch ludzi. Wyglądali na policjantów.

Zatrzymałem się tuż przy zamkniętej bramie. Dwa czarne, metalowe skrzydła. Pionowe pręty zakończone szpicami, połączone krętymi elementami przypominającymi gałęzie drzew. Od nich z obu stron wychodził wysoki na kilka metrów prosty, biały niegdyś mur. Dziś już mocno zniszczony, poczerniały, z odpadniętym w wielu miejscach tynkiem. W dolnych partiach porośnięty mchem i pozieleniały.

– Zbudowanie tego ogrodzenia musiało być budowlanym koszmarem. Nie wyobrażam sobie wjechać tu ciężkim sprzętem – pomyślałem.

Jeden z policjantów, zamiast otworzyć bramę, wyciągnął otwartą dłoń w moją stronę. Spojrzałem na niego niechętnie. Wiedziałem, że to będzie tylko zawracanie głowy, a koniec końców i tak wjadę do środka. Funkcjonariusz ruszył w kierunku drzwi samochodu. Otworzyłem szybę, by wyjaśnić mu okoliczności mojej wizyty.

– Tu nie można wjeżdżać. Teren posiadłości jest tymczasowo zamknięty.

Bez słowa wyjąłem odznakę, kierując ją w stronę rozmówcy, który nachylił się by odczytać moje dane.

– Najmocniej przepraszam detektywie Clark. Spodziewaliśmy się pana w nieco... jakby to powiedzieć, bardziej policyjnym samochodzie.

Schowałem odznakę z powrotem do przedniej kieszeni mojej koszuli, ciągle nie wypowiadając ani jednego słowa. W pracy zawsze używałem swojej broni, swojego laptopa i swojego samochodu. Życie nauczyło mnie, że nie mogę mieć pełnego zaufania nawet do tych, z którymi pracuję.

– To chyba Oldsmobile z lat 70 ubiegłego wieku, prawda?

– Konkretnie Cutlass z 1970 roku, przemalowany. W tamtych czasach nie było niebieskich metalików. Ma chyba ponad 100 lat – powiedział drugi z policjantów, podchodząc nieco bliżej.

– Sierżant McGee, a to sierżant Novak – dodał. Obaj kiwnęli głowami.

– Mogę wjechać?

– Oczywiście. Do posiadłości prosto, potem na prawo pomiędzy pomnikami. Przed drzwiami czeka już na pana kapitan Jones – odpowiedział McGee. Novak w tym czasie otworzył bramę.

– Dziękuję panowie – odpowiedziałem, chociaż nic wielkiego dla mnie nie zrobili, a jedynie utrudnili dojazd na miejsce, ale kultura osobista zawsze była u mnie na pierwszym miejscu.

Ruszyłem. Przez kilkanaście minut jechałem jednopasmową kamienną drogą, między gęstymi zaroślami. Już zdążyłem pomyśleć, iż musiałem przegapić zjazd, gdy zobaczyłem dwa wielkie pomniki. Oba wysokie na niemal dziesięć stóp, przedstawiały rybaków. Jeden trzymał harpun, drugi sieć.

– Aniołki, gargulce, lwy to rozumiem, ale coś takiego widzę pierwszy raz – pomyślałem.

Skrzyłem w drogę między nimi. Po chwili zobaczyłem miejsce docelowe – niewielki plac w kształcie ronda, z nie działającą fontanną pośrodku, a tuż za nim wielki biały budynek. Wszystko szczelnie otoczone, nie tylko wysokimi drzewami, lecz także gęstymi zaroślami, podobnie jak prowadząca tu droga.

Na placu stał policyjny samochód. Zaparkowałem tuż obok niego. Wsiadłem, poprawiłem krawat. Sprawdziłem, czy mam ze sobą broń, i spojrzałem na posiadłość.

Wyglądała na równie starą, co prowadząca tu droga. Dwupiętrowy biały budynek, osadzony na niewielkim wzniesieniu, lata świetności miał już dawno za sobą. Niemal z każdej ściany spadał tynk, spod którego wystawały czerwone cegły. Tam, gdzie gładź jeszcze się ostała, była poczerniała, porośnięta mchem. Spadzisty dach, dawniej zapewne ciemnozielony, dziś już niemal całkowicie czarny. Pośrodku półkoliste schody z kamiennymi, grubymi poręczami, popękany podobnie jak same stopnie. Na ich szczycie, we wnęce, znajdowały się duże, dwuskrzydłowe drzwi. Stał przy nich policjant. Był ubrany w granatowy, dobrze wyprasowany mundur. Miał także policyjny kapelusz w tym samym kolorze. Gdy ruszyłem w jego stronę, ten zaczął schodzić w moim kierunku, więc spotkaliśmy się w połowie drogi.

– Dzień dobry, detektywie Clark.

– Witam – powiedziałem, wyciągając rękę w stronę rozmówcy, którą ten potrząsnął zdecydowanym ruchem.

– Kto tu dowodzi?

– Ja. Kapitan Edward Jones kłania się z tej strony – odpowiedział policjant. Tylko stopień na ramieniu potwierdzał jego rangę, wiek zupełnie tego nie zdradzał. Wyglądał dość młodo, na około 25 lat.

– Kapitan Caine powiedział, że to pilne. Co się dzieje? – zapytałem, gdy jednocześnie ruszyliśmy w stronę wejścia.

– Właściciel posiadłości zorganizował kameralne przyjęcie dla kilku osób, podczas którego zaginęła należąca do niego rzecz. Właściciel zamknął drzwi od wewnątrz, a następnie zadzwonił na policję. Jest pewny, że skradziony przedmiot nie opuścił willi.

– Co to było?

– Fiolka.

– Fiolka?

– Tak. Bezwartościowa dla innych, lecz dla niego bezcenna. Żaden z gości się nie przyznał. Ich przeszukanie także nie przyniosło rezultatów. Kapitan Caine powiedział, że jest pan specjalistą od takich beznadziejnych sytuacji.

Dotarliśmy do wejścia.

– Trzeba przesłuchać świadków, zebrać ślady – odparłem, po czym zapukałem mocno w wielkie, drewniane drzwi.

Początkowo bez odzewu. Już podnosiłem dłoń, by uderzyć kolejny raz, gdy otworzył się mały prostokątny lufcik.

– Słucham? – odezwał się głos zza drzwi.

– Tu policja, proszę otworzyć. Wszyscy obecni w czasie kradzieży muszą udać się z nami na posterunek, w celu złożenia zeznań. Technicy w tym czasie zbiorą ślady.

– Nie ma mowy.

– Jeśli mam pomóc, muszę wejść do środka. Proszę otworzyć! – powiedziałem stanowczo.

– Nic z tego!

– Chyba nic tu po mnie, kapitanie – kiwnąłem głową i zacząłem schodzić ze schodów w stronę samochodu. Miałem zasadę: nie pcham się tam, gdzie mnie nie chcą. Byłbym w stanie odejść od chcącego się zabić człowieka, gdyby tylko ten mnie o to poprosił, a co dopiero jeśli chodzi o kwestię kradzieży.

– Sebastian, ten człowiek... – usłyszałem jak kapitan mówi do drzwi. W odpowiedź nawet się nie wsłuchiwałem. Nie interesowały mnie sprawy, w których ludzie potrzebujący pomocy jej odmawiają.

Gdy złapałem za klamkę samochodu, podbiegł do mnie Jones.

– Detektywie – odwróciłem się w jego stronę. – Proszę zostać. Rozmawiałem z Sebastianem. Wpuści pana do środka w celu przesłuchania świadków.

– Jak to wpuści mnie do środka? – zapytałem zdziwiony. – Świadków trzeba zabrać na komisariat i tam ich przesłuchać. Trzeba też wezwać techników.

– Detektywie Clark, Sebastian jest specyficzną osobą, rzadko wychodzi na zewnątrz. Niemniej jest tu bardzo szanowany. Jego przodkowie wiele zrobili dla tego miasteczka jeszcze w czasach, w których panowała tu ogromna bieda. Proszę zrobić dla niego wyjątek i załatwić to samemu. Miejscowa społeczność, policja oraz kapitan Caine na pewno będą panu niezmiernie wdzięczni.

– Sprawa jest przedziwna – pomyślałem. – Dobrze, niech będzie.

W asyście kapitana z powrotem poszedłem pod drzwi. Były uchylone. Będąc jeszcze jedną nogą na zewnątrz skierowałem wzrok na kapitana.

– Idzie pan ze mną?

– Nie, detektywie. Ja w tym czasie zabezpieczę teren, czekam na posiłki. Wypełnię przy okazji stosowne dokumenty. Jestem pewien, że sobie pan poradzi.

Zrobiłem kolejny krok i wszedłem do środka. Drzwi za mną natychmiast się zamknęły. Zasłonięte okna sprawiły, że wewnątrz

panował półmrok. Po chwili oczy przyzwyczyły się do braku światła i mogłem zobaczyć nieco więcej.

Znalazłem się w holu posiadłości, w holu, który wyglądał jak salon. Pomieszczenie miało około dziewięćdziesięciu stóp szerokości i mniej więcej tyle samo długości. Ściany koloru ciemnozielonego miały drewniane wykończenia od dołu do jednej trzeciej wysokości. Drewniana podłoga delikatnie skrzypiała pod nogami. Pośrodku stał duży, nakryty białym obrusem stół, otoczony trzema krzesłami. Na nim leżała pełna zdobień srebrna zastawa z pięcioma talerzami. Niemal wszystkie z resztkami jedzenia. Tylko jeden wyglądał na nieużywany tego dnia. Była też butelka wina oraz kieliszki. Wszystko rozświetlały trzy palące się świeczniki. Dwa okna po obu stronach drzwi były szczelnie zasłonięte grubymi zasłonami. Wisiały także dające trochę światła lampy oraz obrazy, które przedstawiały dziwne, podobne do ryb postacie. Pomieszczenie miało trzy wyjścia. Jedne duże podwójne drzwi były naprzeciwko wejścia, a dwa pojedyncze na przeciwległych ścianach.

Za stołem stało pięć osób. Półmrok nie pozwalał mi się im dobrze przyjrzeć. Pierwszy podszedł starszy człowiek z siwymi przerzedzonymi włosami, o pociągłej twarzy, dużym nosie i spokojnych oczach. Ubrany był w czarny garnitur, z czarnym krawatem na białej koszuli.

– Detektyw Clark? – zapytał wyciągając dłoń w moją stronę. Przywitałem się z nim.

– Dzień dobry. Cieszę się, że zgodził się pan nam pomóc – dodał nieznajomy.

– Biorąc pod uwagę postawione przez pana warunki, robię to tylko dlatego, że kapitan Caine bardzo mnie o to prosił.

– Rozumiem. Może pan być pewny, że nasza wdzięczność będzie naprawdę wielka.

– Sir Sebastian Anderson, jak mniemam?

- Przepraszam, nie przedstawiłem się. Nazywam się Harvey Sharp. Jestem kamerdynerem sir Sebastiana Andersona. W jego imieniu chciałbym zapewnić, że dołożymy wszelkich starań, by pomóc panu w namierzeniu i odpowiednim ukaraniu złodzieja.

– Chciałbym zobaczyć miejsce, gdzie przechowywany był skradziony przedmiot.

– Oczywiście – odparł Sharp. Wskazał drzwi po lewej stronie od wejściowych.

Kamerdyner wyjął pęk kluczy, wybrał bez zwłoki jeden z nich i przekręcił w zamku. Spojrzał na mnie przez chwilę, po czym nacisnął klamkę i otworzył drzwi na oścież. Było tam całkowicie ciemno. Sharp wszedł pierwszy, następnie zapalił światło. Zrobiłem dwa kroki do przodu i także znalazłem się w środku.

– Co najmniej dziwne – pomyślałem.

Pokój, z tymi samymi ciemnozielonymi ścianami, z jednym zasłoniętym oknem oraz wiszącą pod sufitem lampą. Na środku stał

postument z białego kamienia, szerokości i długości około jednej, a wysoki na pięć stóp. Znajdowała się tam pusta, otwarta, szklana szkatułka. Obok ściany stał regał z kilkoma książkami.

– To tu. Tu właśnie znajdowała się fiolka, którą skradziono – powiedział kamerdyner.

– Przydałoby się zdjąć odciski palców. Nie widzę śladów siłowego włamania – powiedziałem.

– Nie mamy na to czasu, detektywie – powiedział Sharp. Ewidentnie mu się bardzo spieszyło. Ale postanowiłem jeszcze nie pytać dlaczego.

– Szkatułka jest zamykana na klucz. Kto jest w jego posiadaniu? – zapytałem.

– Ja, detektywie.

– Mogę go dostać?

– Oczywiście.

Wziąłem klucz, zamknąłem szkatułę, po czym włożyłem klucz do dziurki. Próbowałem przekręcić, lecz ten nie chciał współpracować.

– Jest pan pewien, że to ten klucz?

– Jak najbardziej – odpowiedział. Nie wiedziałem jeszcze, czy mogę mu wierzyć. Niemniej ta posiadłość, dziwni ludzie, puste pomieszczenia... Nie trzeba być detektywem, żeby wiedzieć, że oni

coś tu ukrywają. Pytanie tylko, czy to coś jest tylko głupie, głupie i nielegalne, czy głupie, okropne i obrzydliwe.

– Zachowam to na razie – schowałem klucz do kieszeni marynarki.

– Oczywiście.

– A klucz od samego pomieszczenia, ile osób go ma?

– Także tylko ja. Lecz w momencie przybycia gości pokój był zamknięty, a fiolka znajdowała się w zamkniętej szkatułce. Nie spodziewaliśmy się kradzieży.

– No tak, tego nikt się nie spodziewa. Muszę przesłuchać świadków.

– Oczywiście, detektywie. Proszę za mną.

Wyszliśmy z pokoju. Sharp zgasił światło, a następnie ponownie zamknął drzwi na klucz. Ruszył w stronę drzwi naprzeciwko. Ludzie w holu stali w bezruchu, bez słowa. Kamerdyner wszedł do kolejnego pomieszczenia, naciskając energicznie klamkę. Wystrój pokoju nie różnił się od poprzedniego, był niemal równie pusty. Na środku stało biurko z lampką, która dawała sporo światła, oraz dwa drewniane krzesła po jego obu stronach. Identyczne jak te z jadalni.

Przesłuchanie

Usiadłem przy biurku. Z kieszeni marynarki wyjąłem swój notes wraz z długopisem. Przewertowałem na niezapisane strony i poprosiłem kamerdynera o zawołanie pierwszego świadka.

– Proszę zawołać sir Sebastiana Andersona.

Sharp bardzo się zdziwił, nie zgłosił jednak żadnego sprzeciwu. Wszedł, by po chwili wrócić z siedzącym na wózku właścicielem skradzionego przedmiotu. Bardzo wiekowy mężczyzna. Miał bladą, wręcz nienaturalnie jasną skórę, niemal przezroczystą. Resztki siwych, długich włosów opadały na jego ramiona. Nosił czerwony szlafrok ze złotymi zdobieniami. Na kolanach trzymał szary koc, który szczelnie przykrywał mu nogi wraz ze stopami.

– Dzień dobry panie Anderson, jeśli można tak powiedzieć w tych okolicznościach – odezwałem się pierwszy.

– Dziękuję detektywie, że zgodził się pan nam pomóc. Sytuacja, choć wygląda na niezbyt ważną, dla mnie jest śmiertelnie poważna – odezwał się starzec, bardzo ochrypniętym głosem.

– Panie Anderson, proszę powiedzieć co dokładnie znajdowało się w szkatułce?

– To była fiołka. Fiołka będąca od wieków własnością mojej rodziny. Legenda mówi, że jest w niej krew św. Piotra.

– Krew?

– Tak detektywie, krew.

– Jaki był cel spotkania w posiadłości?

– Detektywie, to chyba nie ma znaczenia dla prowadzonego śledztwa – wtrącił się kamerdyner, spoglądając na sir Andersona.

– Panie Sharp, wszystko może mieć znaczenie. Proszę odpowiedzieć – powiedziałem spoglądając zdecydowanie na poszkodowanego.

– Jesteśmy grupą starych przyjaciół. Organizujemy spotkanie raz na 5 lat, by powspominać stare czasy.

– A fiolka, miała tu jakieś znaczenie?

– Nieszczególnie, jeśli chodzi o sam cel spotkania. Miała być jedynie pewnym urozmaiceniem dla zebranych.

– Czy widział pan fiolkę tuż przed przybyciem gości?

– Tak, osobiście położyłem szkatułkę na postumencie, po czym zobaczyłem jak Harvey zamknął drzwi do pokoju na klucz. Następnie zasiedliśmy do kolacji, świętując nasze spotkanie.

– Rozumiem. Co było potem? Jak zorientował się pan, że fiolka zaginęła?

– Pod koniec spotkania, gdy chciałem ją pokazać gościom. Byli bardzo ciekawi jak wygląda tego rodzaju artefakt. Poprosiłem Harveya o przyniesienie fiolki, lecz po uchyleniu drzwi okazało się, że szkatułka jest otwarta, a fiolka zniknęła.

– Kto miał klucz do szkatułki?

– Harvey, oczywiście – odpowiedział sir Anderson. Miałem już kilka nieścisłości w jego zeznaniach, ale na razie postanowiłem je zachować dla siebie. Niemniej o jedną rzecz postanowiłem zapytać. – Panie Anderson, skoro w szkatułce znajduje się przedmiot należący od wieków do pana rodziny, czemu to właśnie kamerdyner, a nie pan, posiada do niej klucz?

– Detektywie. Jestem już wiekowy, bardzo stary, mógłbym go łatwo zgubić. Dlatego wszystko, co dla mnie cenne, w tym domu przechowuje Harvey. Jest dla mnie jak rodzina.

– Na koniec zwykłe rutynowe pytanie do kartoteki. Czym się pan zajmuje?

– Sir Anderson jest jednym z największych właścicieli ziemskich w okolicy – odpowiedział Sharp. Spojrzałem na niego ze zdenerwowaniem. Ale postanowiłem już nie drażnić więcej tego, jak mi się wydawało, nieistotnego tematu.

– Dziękuję panie Anderson. To będzie wszystko – powiedziałem, spoglądając na kamerdynera. Ten złapał za rączki wózka, po czym zaczął wyjeżdżać ze świadkiem z pomieszczenia.

– Proszę jeszcze nikogo nie wołać panie Sharp.

– Oczywiście.

Musiałem sporządzić nieco notatek. Zapisałem kilka słów kluczowych, które budziły moje wątpliwości. *Spotkanie po latach. Fiolka. Niepasujący klucz. Klucz u kamerdynera.*

Wstałem, podszedłem do drzwi, uchyliłem je lekko i poprosiłem o wprowadzenie kolejnego świadka. Usiadłem na krześle, gdy do pokoju wszedł jeden z gości. Biały, wysoki, grubszy mężczyzna, z siwymi włosami zaczesanymi do tyłu. Wyglądał na około 60 lat. Był ubrany w szary garnitur z bordowym krawatem. Na sto procent biznesmen.

– Proszę o podanie nazwiska oraz wykonywanego zawodu.

– Nazywam się Christopher Fletcher, jestem właścicielem firmy Fletcher B&A, zajmujemy się budowaniem, kupnem i sprzedażą nieruchomości.

– Proszę opowiedzieć co się stało, od początku, od momentu gdy przybył pan na teren posiadłości.

– Na samym początku nic nie zwiastowało problemów. Zjawiłem się jako pierwszy. Sir Anderson organizuje tu spotkanie raz na pięć lat. Zaprasza na niego wszystkich swoich starych znajomych. Gdy przybyli pozostali, wspólnie usiedliśmy do stołu, po chwili zjawił się sam sir Anderson. Zaczęliśmy biesiadę. Kilka godzin później, pod sam jej koniec, sir Anderson miał zaprezentować nam fiolkę, lecz gdy jego kamerdyner otworzył drzwi, szkatułka okazała się pusta. Sir Anderson podejrzewając, że złodziejem jest jeden z nas, postanowił zamknąć drzwi do posiadłości i powiadomił policję.

– Rozumiem, że sir Anderson zjawił się nieco później na spotkaniu?

– Tak, sir Anderson przybył po kilkunastu minutach.

Na początek zamierzałem zadać kilka prostych pytań. To zawsze uspokaja świadka, traci wtedy czujność. Dzięki temu na sam koniec można przejść do tych najtrudniejszych kwestii, gdy przesłuchiwany niczego już się nie spodziewa.

– Jak długo znacie się z sir Andersonem?

– Bardzo długo, sam już nie wiem ile to lat. Ale na pewno więcej niż 20.

– Tak. Sir Anderson wspominał, że jesteście starymi znajomymi – potwierdziłem odpowiedź świadka, żeby utwierdził się w przekonaniu, że dobrze zeznaje. – Czy z sir Andersonem łączy pana interesy?

– Tak. Jak wspomniałem, mam firmę budowlaną. Zbudowałem dla niego mnóstwo rzeczy przez kilkanaście ostatnich lat.

– Musi pan być zadowolony z tej znajomości.

– Zdecydowanie tak – uśmiechnął się świadek. – Znajomość sir Andersona to jedna z najlepszych rzeczy jaka mi się przydarzyła.

– Wróćmy więc na chwilę do spotkania – powiedziałem, obserwując jak uśmiech schodzi z twarzy rozmówcy. – Czy ktoś opuszczał główne pomieszczenie, od momentu, w którym zjawił się sir Anderson?

– Nie, cały czas byliśmy razem. To jest właśnie w tym wszystkim najdziwniejsze.

– To może być dla pana trudne pytanie, ale czy jest ktoś, kogo pan podejrzewa? Kto może mieć motyw?

Świadek zacisnął usta i pokręcił głową.

– Nie powinienem tego mówić, bo nie mam dowodów, ale moim zdaniem to sprawka kamerdynera.

– Harveya Sharpa?

– Tak.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Tylko on miał klucze do pomieszczenia oraz do szkatułki.

– Rozumiem, to rozsądne co pan mówi – dodałem świadkowi odwagi. – A miałyby jakiś motyw?

Świadek wyraźnie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Pieniądze. Pewnie chciał spieniężyć artefakt na czarnym rynku.

– Dziękuję panu. Pana zeznania będą niezwykle przydatne dla śledztwa – powiedziałem.

Świadek wstał, lecz jeszcze nim wyszedł, powiedział:

– Mam nadzieję, że złapie pan odpowiedzialnego za kradzież.

– Na pewno go znajdę – odpowiedziałem, po czym zadałem ostatnie pytanie, już chcącemu wychodzić człowiekowi.

– Panie Fletcher, czym pan tu przyjechał? Nie widzę żadnych samochodów na parkingu. To pytanie wyraźnie zmieszało świadka. Spojrzał na mnie, mocno zaskoczony. Widać było, że nie ma przygotowanej odpowiedzi, lecz w końcu wyduśił.

– Samochodem. Mój kierowca mnie tu przywiózł, po czym odjechał.

Uśmiechnąłem się, udając, że kupuję jego odpowiedź, dodałem nawet:

– No tak. Trudno, żeby biznesmen nie miał własnego kierowcy. Jest pan wolny. Proszę poczekać z pozostałymi gośćmi, aż wezwę kolejnego świadka.

Fletcher wyszedł. Ja natomiast otworzyłem notes. Słowa, które już w nim były to *Spotkanie po latach. Fiolka. Niepasujący klucz. Klucz u kamerdynera*. Dodałem kilka nowych, takich jak: *Grupa przyjaciół, czy grupa interesów? Ukryty motyw Harveya Sharpa. Przyjazd na miejsce*.

Zawołałem kolejnego świadka. Po chwili do pomieszczenia wszedł Hindus. Miał starannie zaczesane na bok, czarne włosy. Nosił czarny garnitur wraz czarnym krawatem. Był dość młody, około 35 lat. Usiadł niepewnie na krześle. Jego wzrok przeskakiwał z miejsca na miejsce, pomijając przy tym skutecznie moją twarz.

– Proszę o podanie nazwiska oraz wykonywanego zawodu.

– Jestem Archie Khan. Jestem właścicielem salonów samochodowych KhanCars.

– Proszę wszystko opowiedzieć, od początku, od momentu, w którym pojawił się pan na terenie posiadłości.

– Mój kierowca przywiózł mnie tu, po czym odjechał. Początkowo wszystko było w porządku. Wszedłem do posiadłości, gdzie czekali już inni goście. Jak pewnie pan wie, sir Anderson organizuje to spotkanie raz na pięć lat. Rozpoczęła się kolacja, a pod jej koniec sir Anderson miał zaprezentować nam będący w posiadaniu jego rodziny artefakt. Niestety, po otwarciu drzwi, okazało się, że szkatułka jest otwarta i pusta. Resztę pan zna.

Widziałem, że człowiek był zdenerwowany. Na jego twarzy pojawiły się kropelki potu. Czekał na moją reakcję. Regułkę o przybyciu z kierowcą już powiedział. Ale, w przeciwieństwie do Fletchera, już pewnie spodziewa się trudniejszych pytań. Postanowiłem zadać jedno na początek.

– Czy w momencie, gdy wszedł pan do posiadłości, pozostali goście byli już na miejscu? – zapytałem spokojnie, tak jakby to było rutynowe pytanie.

– Tak, przybyłem ostatni. Czekaliśmy jedynie na sir Andersona – odpowiedział po chwili zastanowienia.

– Jak długo zna się pan z sir Andersonem?

– Długo. Około 15 lat.

– Czy z sir Andersonem łączą pana interesy?

– Tak. Wielokrotnie kupował oraz wynajmował ode mnie samochody.

- Jest pan zadowolony z interesów z sir Andersonem?
- Jak najbardziej. To jeden z moich najlepszych klientów.
- Zanim zakończymy, jeszcze jedno pytanie. Czy jest ktoś, kogo pan podejrzewa?

Khan opuścił na chwilę głowę, milcząc przez kilkanaście sekund. Już chciałem powtórzyć pytanie, gdy powiedział.

- Tak. Myślę, że fiolkę ukradł Harvey Sharp.
- Kamerdyner?
- Tak.
- Dlaczego tak pan uważa?
- Po pierwsze, Sharp jako jedyny miał klucze, nie tylko do pomieszczenia, lecz także do samej szkatułki. Po drugie, on jako jedyny mógł mieć motyw – dodał Khan, jednocześnie nie kończąc wyraźnie ostatniego słowa.

- Motyw? Jaki?

Khan zaczął się zastanawiać. Rozglądał się po pokoju, starając się unikać mojego wzroku.

- Wie pan, detektywie...

Ewidentnie grał na zwłokę.

- Pieniądze! – nagle jego twarz ponownie nabrała pewności siebie.

– Wymyślił – przeszło mi przez głowę.

– Ja oraz wszyscy pozostali goście jesteśmy ludźmi majątynymi. Nie musimy kraść dla pieniędzy. Natomiast Sharp – to już inna bajka.

– Czy pan Sharp narzekał kiedyś na swoją sytuację finansową?

– Nie. To znaczy, nie wiem. Ale jest oczywiste, że nie jest zbyt majątny. W końcu cały czas pracuje jako zwykły kamerdyner.

– To ma sens – odpowiedziałem, żeby uspokoić świadka, chociaż dla mnie nie miało to absolutnie żadnego sensu. – Dziękuję panie Khan, może pan odejść. Proszę poczekać z resztą na wezwanie kolejnego świadka.

– Oczywiście.

Khan wstał.

– Panie Khan. Jeszcze jedno pytanie. Skoro robi pan tak duże interesy z sir Andersonem, to czemu spotykacie się tak rzadko? Raz na pięć lat?

Świadek wyglądał na zaskoczonego. Nie był przygotowany na to pytanie.

– Detektywie... Prowadzę kilka salonów, dużą firmę, większość interesów z sir Andersonem załatwiam poprzez pracowników.

– Ciekawe. To wszystko – odpowiedziałem, tym razem nie dając świadkowi do zrozumienia, że kupuję jego odpowiedź. To na pewno wywoła w nim lekką panikę.

Khan wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Spojrzałem na notes, były w nim zapisane słowa: *Spotkanie po latach. Fiolka. Niepasujący klucz. Klucz u kamerdynera. Grupa przyjaciół, czy grupa interesów? Ukryty motyw Harveya Sharpa. Przyjazd na miejsce.* Przekreśliłem słowa *Grupa przyjaciół*. Nie wiem co łączy tych ludzi, ale na pewno nie przyjaźń. Przyjaciele spotykają się zdecydowanie częściej niż raz na 5 lat, zwłaszcza kiedy aktywnie prowadzą ze sobą interesy. Podkreśliłem także *Przyjazd na miejsce*, w tym temacie kłamią obydwaj. Dodałem zdanie: *Jak oni się tu znaleźli i czemu to ukrywają?* Ostatnie pytanie nurtowało mnie najbardziej.

– Przecież jeśli nie przybyli tu statkiem kosmicznym, to nie ma sensu ukrywać tak błahej rzeczy. Chyba, że przybyli? Nie, nie, za dużo filmów z lat 80 ubiegłego wieku. – pomyślałem.

Wpatrywałem się tak w te słowa kilkanaście minut, próbując znaleźć jakieś powiązania, aż ktoś zapukał do drzwi, po czym je otworzył. To był Harvey Sharp.

– Detektywie? Wszystko w porządku? – zapytał, wkładając głowę do środka.

– Analizuję zeznania świadków, proszę nie przeszkadzać.

– Najmocniej przepraszam, detektywie.

– Ale skoro już pan wszedł, proszę wezwać kolejnego świadka.

Sharp zniknął, pozostawiając uchylone drzwi, przez które wszedł kolejny człowiek do przesłuchania.

– Proszę zamknąć za sobą drzwi i usiąść przy biurku.

Mężczyzna ubrany w czarny garnitur z białą koszulą, więc podobnie jak pozostali. Szczupły, wręcz wychudzony, z czarnosiwymi włosami zaczesanymi na bok. Wyglądał na około 60 lat. Miał twarde spojrzenie, w ogóle nie unikał mojego wzroku.

– Proszę podać imię, nazwisko oraz wykonywany zawód.

– Nazywam się Robert Woods, jestem właścicielem firmy zajmującej się odwiertami i drążeniem tuneli.

I tu mnie człowiek od razu zaskoczył. Rozumiałem, że sir Anderson, jako jeden z największych rolników w rejonie, mógł potrzebować pomocy firmy budowlanej i ewentualnie wsparcia firmy zajmującej się sprzedażą samochodów. Ale odwierty i tunele? Ponieważ Woods nie wyglądał na osobę, którą da się uśpić prostymi pytaniami, uderzyłem od razu.

– Jakie interesy łączą pana z sir Andersonem? Czego właściciel pól uprawnych może chcieć od firmy zajmującej się kopaniem w ziemi?

– Niczego detektywie. Z sir Andersonem łączą mnie jedynie przyjacielskie stosunki, tak jak z pozostałymi.

– Nie zagiąłem gościa – pomyślałem, sądząc po jego uśmiechu, on też tak pomyślał.

– Proszę opowiedzieć co się wydarzyło od momentu, w którym pojawił się pan na terenie posiadłości.

– Nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Zjawiłem się na miejscu mniej więcej razem z pozostałymi gośćmi. Następnie przybył sir Anderson i zaczęliśmy rozmawiać, zając się przy okazji pyszną kolacją. Pod koniec Sebastian kazał otworzyć pokój z fiolką, ale jej już tam nie było – odpowiedział Woods, bardzo pewnie, nawet nie tłumaczył się jak tu przybył. Ale i tak postanowiłem dopytać.

– Jak pan przybył na miejsce?

– Przywiózł mnie kierowca. Ale tu nie widzę związku ze sprawą, detektywie.

– Czy w momencie przybycia do posiadłości pozostali goście byli już na miejscu?

– Przybyłem jako drugi gość – powiedział stanowczo, bez zawahania.

– Kto był pierwszym gościem?

– Nie pamiętam – odpowiedział. Postanowiłem go jednak docisnąć, żeby trochę zmiękł.

– Oprócz sir Andersona i jego kamerdynera w obiedzie udział brały tylko dwie osoby. A pan nie pamięta, która z nich była

na miejscu w momencie pańskiego przybycia? – zapytałem, nie ukrywając poirytowania.

– Niech się zastanowię – odpowiedział już mniej stanowczo.

Ustalił z pozostałymi swoją kolejność, ale zapomniał, kto miał być pierwszy, a kto ostatni.

– Proszę sobie przypomnieć. Witał się pan z trzema osobami. To było zaledwie kilka godzin temu – dociekałem dalej. Widziałem, jak świadek wymięka na moich oczach.

– Khan. Tak, Khan był na miejscu, gdy zjawiłem się w posiadłości.

– Mam cię! – pomyślałem.

– Jasne, rozumiem – odpowiedziałem, nie dając mu do zrozumienia, że postawił na złe pole. Jak długo zna się pan z panem Andersonem?

– Myślę, że około 30 lat.

– O interesy nie pytam, bo już pan wspomniał, że ich nie prowadzicie, ale zapytam o waszą znajomość. Jak ona się zaczęła?

– Oj, nie pamiętam, pewnie poznaliśmy się na jakimś przyjęciu.

– Dużo pan nie pamięta i dużo pan przekręca, panie Woods – powiedziałem wprost. Wiedziałem, że jak wyjdzie ze świadomością, iż wiem, że coś kręcą, zasieje to panikę w ich szeregach i popełnią jakiś błąd.

– Nie jestem już najmłodszy, detektywie, pamięć czasem mnie zawodzi – odpowiedział zrezygnowany, zamyślony, patrząc w dół, jakby miał świadomość, że nic już tu nie wskóra.

– Być może tak jest. Ostatnie pytanie z mojej strony. Czy jest ktoś, kogo pan podejrzewa?

– Nikogo. Absolutnie nikt nie miał tu powodu, by próbować zaszkodzić sir Sebastianowi Andersonowi. I nikt nie powinien tego robić.

Tu mnie zaskoczył ponownie. Spodziewałem się usłyszeć "mówię to z bólem, ale to Harvey Sharp". A tu nic.

– Jest pan wolny jako świadek. Ale proszę jeszcze nie opuszczać posiadłości.

Woods wstał, po czym wystrzelił w stronę drzwi. Obawiał się pewnie pytania na koniec, którego i tak nie miałem.

Notes. Zajrzałem do niego po raz kolejny. *Spotkanie po latach. Fiolka. Niepasujący klucz. Klucz u kamerdynera. Grupa przyjaciół* (przekreślone), czy *grupa interesów? Ukryty motyw Harveya Sharpa. Przyjazd na miejsce* (podkreślone). *Jak oni się tu znaleźli i czemu to ukrywają?*

Zeznania ostatniego świadka są... inne niż pozostałych. Nie miałem czego dopisać. Wstałem na chwilę, żeby rozprostować kości.

– Będzie mnie czekać konfrontacja świadków – pomyślałem. Ale chociaż mam kilka rozbieżności w zeznaniach, żadne z nich nie zbliża mnie do znalezienia złodzieja.

Podszedłem do drzwi. Uchyliłem je nieco.

– Proszę o wejście ostatniego świadka – krzyknąłem, po czym usiadłem przy biurku.

Do środka wszedł Harvey Sharp.

– Detektywie, wszyscy świadkowie zostali już przesłuchani.

– Nie, panie Sharp. Został jeszcze pan – odpowiedziałem zdecydowanie.

– Ja? – zapytał zdziwiony.

– Tak, pan, panie Sharp. Tych kilku wcześniejszych pytań nie można przecież nazwać przesłuchaniem. Proszę zamknąć drzwi i usiąść.

Sharp niechętnie, ale wykonał posłusznie moje polecenie.

– Jak długo pracuje pan z sir Andersonem?

– Całe życie, panie Clark. Odkąd pamiętam.

– Czy sir Anderson mieszka tu z panem sam?

– Tak, detektywie. Choć ostatnio byliśmy w podróży i przyjechaliliśmy specjalnie na ten obiad.

– Proszę opisać wszystko z pana perspektywy, od momentu waszego przyjazdu.

– Przybyłem tu nieco wcześniej niż sir Anderson...

– Jak? – przerwałem Sharpowi wypowiedź.

– Samochodem z kierowcą.

– Oczywiście, że z kierowcą – odpowiedziałem wolno i prześmiewczo, dając do zrozumienia, że nie wierzę już w te bajki. Ale o dziwo Sharp nie zmienił wyrazu swojej twarzy nic a nic. Mówił, jakby był święcie przekonany, że mówi prawdę.

– Dobry aktor? – zapytałem w myślach sam siebie.

– Proszę kontynuować – powiedziałem.

– Więc po przybyciu na miejsce zacząłem przygotowania do obiadu. Nakryłem obrus, ustawiłem odpowiednią liczbę krzeseł i zaserwowałem posiłek dla każdego z gości.

– Oprócz krzesła dla sir Andersona – wtrąciłem.

– Tak, sir Anderson siedział przy stole na swoim wózku, nie jadł także posiłku.

– Dlaczego nie jadł? – przerwałem ponownie, tym razem z czystej ciekawości.

– Powiedzmy, że z powodu swoich dolegliwości sir Anderson musi stosować odmienną dietę.

– Rozumiem, jest to przecież człowiek bardzo wiekowy.

– Dobrze pan to ujął – odpowiedział spokojnie Sharp.

– Co było dalej?

– Zjawił się sir Anderson wraz z fiolką. Razem zabezpieczyliśmy ją w pomieszczeniu po drugiej stronie holu, a sam właściciel postanowił zażyć nieco kąpieli.

– Potem zjawili się goście. Usiedliśmy do stołu. Dołączył do nas sir Anderson. Resztę pan zna.

– Ostatnie pytanie. Czy jest ktoś, kogo pan podejrzewa?

Sharp zaczął się nad czymś zastanawiać, spojrzał w stronę okna, przez chwilę uciekał ode mnie wzrokiem.

– Nie, detektywie. Nikogo nie podejrzewam.

– Dziękuję panie Sharp. Proszę opuścić pomieszczenie i poczekać w holu z resztą gości. Muszę przeanalizować zebrane zeznania.

– Oczywiście, detektywie.

Sharp wstał tak spokojnie, jakby on jeden niczego się nie bał, chociaż był najbardziej podejrzany.

– A jeszcze jedno, panie Sharp – zapytałem, zanim zdążył złapać za klamkę.

– Tak?

– Który z gości przybył na miejsce jako pierwszy?

Sharp wyraźnie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Wszyscy przybyli w tym samym momencie – powiedział, spuszcżając głowę, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Spojrzałem na notes. Słowa, które były w nim zapisane to *Spotkanie po latach. Fiolka. Niepasujący klucz. Klucz u kamerdynera. Grupa przyjaciół* (przekreślone), *czy grupa interesów? Ukryty motyw Harveya Sharpa. Przyjazd na miejsce* (podkreślone). *Jak oni się tu znaleźli i czemu to ukrywają?*

To przesłuchanie także nie pozwoliło mi niczego dodać. Wstałem więc, odsłoniłem nieco zatęchłą zasłonę, było za nią pełno kurzu. Brudne okna oraz ciemność nie pozwalały już dojrzeć co jest na zewnątrz. Widoczne były jedynie palące się światła policyjnego samochodu.

– Wszyscy coś tu ukrywają. A może to tylko moja paranoja?
– pomyślałem.

– Zastanawia mnie jedna rzecz. Jeśli wszyscy coś ukrywają, to czemu mnie wezwali? Może zależało im na odzyskaniu fiolki bardziej niż na zachowaniu tajemnicy? Ale przecież mieli już policję na miejscu. Mogli rozpocząć śledztwo bez kogoś z zewnątrz. Wiedzieli, że ja będę dopytywał bardziej niż ich znajomi policjanci – pomyślałem. – Może to sir Anderson? Może to on wezwał mnie, żeby się uwiarygodnić i odsunąć od siebie podejrzenia? Żeby wszyscy widzieli, że zrobił co było w jego mocy, by odzyskać fiolkę. Ale po co miałby kraść własny przedmiot? Nie był jego? Miał go komuś przekazać? Któremuś z gości?

Miałem coraz więcej pytań, a żadnych odpowiedzi. Usiadłem ponownie przy biurku. Postanowiłem przeanalizować jeszcze raz wszystko od mojego przybycia. Można by rzec, że postanowiłem przesłuchać sam siebie.

– Więc co się działo od momentu pana przybycia na teren posiadłości? – zadałem pytanie samemu sobie. – Przyjechałem na miejsce. Przed posiadłością stał radiowóz oraz jeden policjant, czyli kapitan Jones. Musiał przyjechać sam. Porozmawiałem z nim trochę, był bardzo przejęty kradzieżą. Prosił mnie, żebym został i kontynuował śledztwo, gdy sir Anderson nie chciał mnie wpuścić do środka.

– Jaki policjant prosi kolegę po fachu, żeby pomóc osobie, która tego nie chce? – Dobry policjant. Albo policjant, który ma w tym interes – pomyślałem.

Kapitan Jones – napisałem w notesie.

– Wszedłem do holu. Stół w holu – to już było dziwne samo w sobie. Pięć talerzy, w tym jeden pusty dla sir Andersona. Pozostałe dla Fletchera, Khana, Woodsa i Sharpa. Krzesła były trzy, bo jedno z nich prawdopodobnie wyładowało tutaj – analizowałem dalej. I nagle coś mnie tknęło. – Czy kamerdyner spożywałby posiłek wspólnie z właścicielem posiadłości? Więc jak nie on, to kto mógł być czwartym gościem? – pomyślałem i wtedy spojrzałem na notes.

– *Jones.*

– Może Jones, wzywając mnie na miejsce, chciał się uwiarygodnić? Jego ludzie nie daliby gwarancji rzetelnego śledztwa. Jeśli to właśnie on był na miejscu kradzieży... Być może faktycznie oni wszyscy mówią prawdę, że przywiózł ich kierowca, bo przyjechali tu razem z Jonesem, jego radiowozem – pomyślałem.

Miałem kolejny punkt zaczepienia. Zadzwoił mój telefon. Numer nieznanym. Odebrałem.

– Kapitan Jones z tej strony. Detektywie, dzwonię zapytać o postępy w śledztwie? Ma pan już jakieś podejrzenia?

– Mam, kapitanie. Czemu nie zdradził pan, że także był gościem sir Andersona?

– Detektywie, to nie jest do końca tak, jak wygląda na pierwszy rzut oka. Zaraz do pana przyjdę – powiedział Jones. Usłyszałem pukanie w słuchawce telefonu. Ale bynajmniej nie do moich drzwi.

– Kapitanie! – krzyknąłem do telefonu. Spojrzałem na ekran i zobaczyłem jak się rozłącza.

Prawda

Podszedłem do drzwi. Już chciałem złapać za klamkę, gdy ktoś przekręcił klucz i zamknął mnie w środku.

– Co jest do cholery!?

Uderzyłem pięścią w drzwi.

– Halo, otwórzcie! Co się dzieje! – krzyknąłem. Nikt się jednak nie odezwał. Usłyszałem trzy strzały, po chwili ciszy kolejne trzy. Wyjąłem broń. Strzeliłem w zamek. Drzazgi wyleciały w powietrze, zamek został nieco pokiereszowany, ale same drzwi nadal nie chciały puścić.

– Muszą być czymś zablokowane – powiedziałem na głos.

Schowałem broń. Zerwałem stare zasłony i podniosłem krzesło, którym chciałem rzucić w stronę okna, by zbić szybę. Wzięłem zamach i wtedy jedna noga wbiła się w przeciwległą ścianę.

Wyciągnąłem krzesło. Dotknąłem ciemnozielonej ściany, prowadząc dłoń w stronę powstałej dziury. Włożyłem do niej palce. Poczulem cienką, gipsową płytę, mogłem dotknąć jej z drugiej strony. Odkruszyłem nieco więcej. Podstawiłem krzesło, stanąłem na nim i zajrzałem do środka. Zobaczyłem pusty pokój z zapalonym światłem.

Wzięłem rozbieg i barkiem uderzyłem w ścianę, która rozsypała się na kawałki. Znalazłem się po drugiej stronie, upadając przy tym na ziemię. Wstałem, otrzepałem garnitur z białego pyłu. Rozejrzałem się po pokoju, który pozbawiony był mebli. Wychodziły z niego pojedyncze drzwi, na lewo od zrobionego przeze mnie przejścia.

Otworzyłem je. Dalej było już zupełnie ciemno. Wyjąłem broń i zapaliłem przymocowaną do niej latarkę. Przeszedłem ostrożnie przez próg. Znalazłem się w długim korytarzu. Po mojej lewej stronie były drzwi prowadzące do głównego holu. Naprzeciwko – drzwi do analogicznego pomieszczenia po drugiej stronie budynku. Po prawej – podwójne przejście w głąb posiadłości.

Postanowiłem jak najszybciej udać się do głównego holu. Podszedłem pod drzwi. Złapałem jedną dłonią za klamkę, w drugiej trzymałem naładowany pistolet. Nacisnąłem powoli.

– Cholera, zamknięte – powiedziałem cicho.

Poszedłem sprawdzić pokój naprzeciwko, ten który przylegał do pomieszczenia ze skradzionym przedmiotem. Tak jak poprzednio, stanąłem przy wejściu, ostrożnie uchylając drzwi. W środku paliła się lampa, która delikatnie rozświetlała ciemnozielone ściany i drewnianą podłogę. Oczywiście pomieszczenie było puste, lecz jedna ze ścian była przebita. Wyłom prowadził do pokoju ze szkatułką, w którym migąło światło.

Zgasilem latarkę w pistolecie, by nie zdradzać swojej pozycji. Podszedłem ostrożnie do dziury zobaczyć, czy ktoś jest w drugim pomieszczeniu. Nikogo nie było, tylko przewrócony regał i postument ze szkatułką. Zrobiłem krok i przeszedłem na drugą stronę. Drzwi do holu były otwarte. Powoli ruszyłem w ich stronę. Gdy znalazłem się za progiem, zobaczyłem trzy leżące na podłodze ciała. To byli Fletcher, Khan oraz Woods. Zmarli od ran postrzałowych głowy i szyi. Drzwi do posiadłości były otwarte, podbiegłem do nich. Na zewnątrz było już kompletnie ciemno. Wyjąłem i zapaliłem latarkę. Poświeciłem po okolicy, nikogo jednak nie zauważyłem, więc zgasilem i schowałem ją z powrotem do kieszeni.

Padły kolejne strzały, tym razem z wnętrza budynku. Bez zbędnej ostrożności wróciłem do pomieszczenia ze szkatułką, by następnie dziurą w ścianie wrócić na korytarz. Zostały ostatnie drzwi. Otworzyłem je powoli, trzymając pistolet wycelowany przed siebie.

Zobaczyłem dobrze rozświetlone pomieszczenie z basenem pośrodku. Ściany wraz z podłogą wyłożone były jasnoniebieskimi, mającymi już swoje lata kafelkami. Ale nie to było najdziwniejsze. Brakowało tu bowiem przeciwległej do wejścia ściany, więc zamiast niej ujrzałem zanurzone w ciemności drzewa otaczającego posiadłość lasu.

Po drugiej stronie basenu zobaczyłem dwa ciała, tuż obok drabinki umożliwiającej wejście do wody. Podeszedłem bliżej. Pierwszym z poszkodowanych był Harvey Sharp. Miał ranę postrzałową klatki piersiowej, w dłoni trzymał broń. Niestety nie dawał znaków życia. Drugim był leżący pod wywróconym wózkiem inwalidzkim sir Sebastian Anderson. Nie dostrzegłem u niego żadnych powierzchownych ran, więc pomyślałem, że może jeszcze żyć. Poklepałem go delikatnie po ramieniu, chcąc go ocucić, lecz na nic to się zdało. Postanowiłem więc podnieść wózek, by zabrać rannego na zewnątrz posiadłości. Gdy złapałem urządzenie, nie zauważyłem, że zaplątał się w niego koc przykrywający poszkodowanego. Odrzuciłem wózek pod ścianę, a to odkryło dolną część ciała Andersona.

– O kurwa – powiedziałem na głos i na krótką chwilę zamarłem.

Anderson nie miał nóg, tylko wystające z pleców cztery macki ośmiornicy.

– Nie do wiary. Może to się nie dzieje naprawdę? Może leże gdzieś po wypadku, a to wszystko to tylko wytwór mojej wyobraźni? – pomyślałem. Wyjąłem telefon. Zrobiłem zdjęcia

Wojciech Horzowski

zarówno nieżyjącego Harveya Sharpa, jak i nieprzytomnego Andersona. Przy okazji spojrziałem na wodę stojącą w basenie. Nie mogłem dostrzec dna, choć ta wydawała się idealnie przezroczysta.

Niespodziewanie usłyszałem jęki. Spojrzałem na Sharpa, potem na Andersona. To żaden z nich. Podszedłem do krawędzi pomieszczenia. Po obu stronach posiadłość nie miała żadnych innych pomieszczeń.

– To jest atrapa – pomyślałem.

– To gdzie oni mieszkają? Gdzie przygotowali kolację? Zaledwie kilka pustych pomieszczeń i nic więcej.

Spojrzałem pod siebie. Trudno było dostrzec cokolwiek w ciemności. Schowałem broń, a wyjąłem i zapaliłem latarkę. Skierowałem jej światło tuż pod budynek. Zobaczyłem jak kilka metrów niżej, przy drzewie, w bagnistej wodzie, leżał kapitan Jones. Chyba jeszcze żył. Zszedłem po wystających z niedokończonej ściany ceglach i brodząc w bagnie, udałem się w jego stronę.

Przyklęknąłem. Jones był cały przemoczony, na brzuchu miał ślady krwi.

– Oczywiście rana postrzałowa – pomyślałem.

– Kapitanie! Tu detektyw Clark.

Jones otworzył oczy, ledwie przytomny.

– Czemu ich wszystkich zabiłeś?

– To było konieczne, gdy zorientowałeś się, że to ja stoję za kradzieżą. Musiałem zdobyć fiolkę – odpowiedział Jones, krztusząc się krwią, która zaczęła pojawiać się na jego ustach.

– Co znajduje się w fiolce? Po co ci ona była?

– Zawiera wirusa – znowu się zakrztusił, ale po chwili zdołał kontynuować – wirusa, który pozwala się zmienić w jednego z nich.

– Jednego z nich? Kogo? – krzyknąłem.

– Takich jak Anderson. On nie jest już człowiekiem.

– Widziałem jego macki. Chciałeś być taki jak on? Po co?

– Żeby ją uratować – odpowiedział Jones. Wyraz jego twarzy posmutniał, oczy delikatnie się zaszkliły.

– Przepraszam cię, Dorothy. Nie dałem rady cię uratować. Nie powinienem im pozwolić cię zabrać – powiedział Jones, tracąc już zupełnie kontakt z rzeczywistością.

– Kim ona jest? Kto ją zabrał?! Mów! – krzyknąłem, łapiąc Jonesa za ubranie.

– Moja Dorothy – odpowiedział kapitan, po czym stracił przytomność.

Wstałem, wyjąłem telefon. Zrobiłem jeszcze nieprzytomnemu Jonesowi kilka zdjęć. Wiedziałem, że dzieje się tu coś bardzo dziwnego, zamieszana jest w to policja, więc zawsze warto mieć jakiś dowód. Zadzwoiłem na komisariat.

– Detektyw Clark. Numer odznaki 47117. Jestem w posiadłości sir Sebastiana Andersona. Doszło do wielokrotnego zabójstwa. Jest pięć trupów i jeden ranny. Proszę o przysłanie wsparcia oraz karetki. Kapitan Caine zna dokładne miejsce mojego pobytu.

– Oczywiście, detektywie. Już kontaktuję się z kapitanem Cainem i wysyłam wsparcie.

Usłyszałem plusk.

– Basen – pomyślałem.

Brodząc w wodzie szybko podbiegłem do niedokończonej ściany, wspiąłem się na poziom pomieszczenia z basenem i zobaczyłem czerwony szlafrok leżący obok ciała Harveya Sharpa. Stałem nad zbiornikiem. Skierowałem światło świecącej się ciągle latarki na lustro wody. Patrzyłem, próbując coś dostrzec, lecz ujrzałem jedynie bezkresną głębinę.

Zszedłem ponownie do kapitana pilnując go do przyjazdu karetki. Wygląda, że ciągle żył.

– Jego zeznania będą bezcenne – pomyślałem.

Kilkadziesiąt minut później usłyszałem ryk silników. Wróciłem przed posiadłość, która, jak teraz wiem, okazała się jedynie wydmuszką. Na miejsce dotarła policja z najbliższego posterunku. Dwa kolejne samochody ledwie mieściły się na niewielkim parkingu. Ich światła rozświetlały plac oraz fasadę budynku. Wsiadło z nich ośmiu policjantów. Jeden z nich,

ewidentnie starszy od pozostałych, wyglądał na około pięćdziesiąt lat, miał krótko ostrzyżone siwe włosy. Podszedł do mnie i wyciągnął dłoń.

– Detektyw Clark? Jestem kapitan Jones.

Tego się nie spodziewałem.

– Clark. Kapitan Jones? Jak przyjechałem na miejsce, to był już tu kapitan Jones. To zbieżność nazwisk, że macie dwóch kapitanów o tym samym nazwisku na jednym posterunku?

– Bynajmniej. To na pewno jakiś przebieraniec, albo pomyłka, detektywie. Jak się tu znalazłeś? – zapytał drugi Jones.

– Zostałem tu wezwany przez Caine'a, by pomóc w śledztwie w sprawie kradzieży.

– Caine? Kapitan z Morgan City?

– Tak, dokładnie.

– To mój stary kumpel. Czemu cię tu wezwał? Mam tu przecież własny posterunek.

– Powiedział, że potrzebujecie pomocy w śledztwie.

– Co tu się właściwie wydarzyło?

– Podczas niewielkiego przyjęcia ktoś ukradł właścicielowi posiadłości fiolkę – zacząłem mówić.

– Czy odzyskałeś przedmiot? – wtrącił niespodziewanie żywo zainteresowany Jones.

– To nie jest najistotniejsze w tej sprawie – odpowiedziałem.

– Gdy przesłuchiwałem świadków ktoś zamknął mnie w jednym z pomieszczeń. Potem zabił trzech gości, ich ciała są w głównym holu. W pomieszczeniu z basenem jest ciało kamerdynera, a za budynkiem ciało starego Jonesa.

– A właściciel posiadłości?

– Sir Sebastian Anderson? To jest bardzo dziwny przypadek.

– Był tu?

– Tak, znalazłem go martwego, ale jego ciało zniknęło. Było coś jeszcze....

– A przedmiot? Co ze skradzionym przedmiotem? Znalazłeś go!? – przerwał mi Jones.

– Nie, ale w tej sytuacji to chyba nie ma znaczenia – odpowiedziałem. Jones ewidentnie się zdenerwował. Postanowiłem zatem nie wspominać o tym, co widziałem u Andersona.

– Dziękuję, detektywie. Na tym kończy się tu pana rola. My zajmiemy się resztą.

– Oczywiście, kapitanie.

– Panowie! Za mną na tyły budynku – krzyknął Jones, po czym ruszył za budynek. Policjanci pobiegli za nim.

Rozmowa z nowym Jonesem, jego zachowanie, były tak samo dziwne, jak całe to śledztwo. Ale to nie była już moja sprawa.

Spojrzałem na policyjny samochód, którym przyjechał stary Jones. Ponieważ wszyscy nowo przybyli policjanci pobiegli za dom, postanowiłem go sprawdzić. Podszedłem do drzwi od strony kierowcy. Otworzyłem je. Zajrzałem do środka. Nie było tam niczego nadzwyczajnego. Ponownie zamknąłem samochód, żeby nie budzić podejrzeń.

Nim ruszyłem w stronę swojego wozu, dotarło do mnie, że nie przyjechała z nimi żadna karetka. Spojrzałem na posiadłość, żeby upewnić się, czy policjanci nie wracają. Otworzyłem bagażnik. Wśród broni i apteczki znalazłem przezroczystą szkatułkę, w której były koperta i fiolka z dziwnym zielonym płynem. Wziąłem pudełeczko w ręce, zamknąłem bagażnik i czym prędzej wróciłem do samochodu, zabierając je ze sobą.

– Ta sprawa nie jest jeszcze zakończona. Mam wrażenie, że wszyscy są w nią zamieszani – pomyślałem.

Schowałem szkatułkę w schowku samochodu. Odpaliłem silnik, włączyłem światła i z piskiem opon ruszyłem w drogę powrotną. Minąłem pomniki rybaków, aż dojechałem do bramy. Stały przy niej dwa policyjne samochody. Zwolniłem prawie do zera. Radiowozy miały zapalone światła, także te czerwone, które odbijały się złowrogo w otaczających bagnach. Drzwi były otwarte, ani śladu pilnujących bramę policjantów. Nie miałem w samochodzie szperacza, więc założyłem, że zostali odesłani lub przyjechali na miejsce z nowym Jonesem, a ja ich nie poznałem. Nigdy nie miałem pamięci do twarzy.

– Na dziś to koniec – pomyślałem. Przyspieszyłem, chcąc jak najszybciej opuścić las.

Tuż przed wyjazdem jakiś człowiek wbiegł na drogę. Zahamowałem, lecz nie udało mi się uniknąć zderzenia. Ofiara upadła przed maskę samochodu. Zaciągnąłem hamulec ręczny. Pozostawiając włączony silnik oraz światła, opuściłem samochód. Podeszedłem bliżej.

Ledwie dostrzegłem policyjny mundur, gdyż jego ubranie całe było mokre, pokryte błotem. Twarz wyglądała na strasznie umęczoną. Przyklęknąłem, złapałem go za głowę i uniosłem ją nieco. On otworzył oczy.

– Detektyw Clark – powiedział cicho ledwie żywy.

Teraz skojarzyłem, to był jeden z policjantów stojących przy bramie.

– Sierzancie? – zapytałem, nie pamiętając już jakie oni mieli stopnie. – Zaraz wezwę pomoc – powiedziałem, chcąc dodać mu otuchy.

– To na nic detektywie. I tak przyjadą tylko oni.

– Jacy oni?

– Ludzie kapitana Jonesa.

– Jonesa? Którego Jonesa? – zapytałem.

– Tego, którego pan wezwał.

– A kim był twój Jones?

– Był moim przyjacielem – odpowiedział, po czym zamknął oczy. Niespodziewanie z lasu wyszła grupa dobrze uzbrojonych policjantów. Byli ubrani identycznie, jak ten leżący na ziemi. Zaświecili na nas latarkami przymocowanymi do swoich karabinów.

– Ręce do góry! Policja! – krzyknął jeden z nich.

Wstałem. Uniosłem ręce.

– Jestem detektyw Daniel Clark z posterunku w Morgan City. Ten człowiek potrzebuje pomocy.

– Zajmiemy się tym. Czy ranny miał coś przy sobie?

– Nie – odpowiedziałem.

Jeden z policjantów podszedł do rannego. Ten otworzył oczy. Przeraził się.

– Nie, nie pozwól im mnie zabrać. Clark! Nie pozwól im mnie zabrać! – krzyczał.

Policjanci zaczęli podnosić rannego.

– Tak nie można. Ten człowiek został potrącony, powinien poczekać na przyjazd karetki – powiedziałem, opuszczając ręce. Chciałem podejść do rannego.

Jeden z policjantów uniósł karabin celując w moją stronę.

– To nie jest twoja jurysdykcja, ani twoja sprawa, detektywie. Proszę wrócić do samochodu. – Natychmiast! – krzyknął policjant.

Nie miałem wyboru. Wróciłem do pojazdu, będąc cały czas na celowniku. Zwolniłem hamulec ręczny i ruszyłem. Jechałem przez ciemny las, nie oglądając się za siebie. Chciałem jak najszybciej opuścić to przeklęte miejsce. Dopiero gdy dotarłem do głównej drogi, mogłem się nieco odprężyć. Ciągle myślałem o tym, co dziś widziałem.

– Szkatułka – pomyślałem. Odruchowo wcisnąłem hamulec, zatrzymując się na środku pustej drogi.

Sięgnąłem do schowka. Wyjąłem kasetkę. Była zamknięta. Próbowałem ją otworzyć, lecz zamek był mocniejszy, niż mi się wydawało. Już miałem szukać czegoś, by ją rozbić, gdy przypomniałem sobie o kluczu, który wręczył mi Harvey. Sięgnąłem do kieszeni marynarki, wyjąłem go, po czym bez problemu otworzyłem wieczko.

Na początku w dłonie wziąłem szklaną fiolkę. Znajdował się w niej jasnozielony płyn, wydawało mi się nawet, że odrobinę świecił. Na szczęście fiołka zamknięta była srebrną zakrętką. Postanowiłem jednak jej nie otwierać. Pod nią znajdowała się biała koperta, była rozerwana. Wyjąłem kartkę, która znajdowała się w środku i zacząłem czytać.

Drogi Sebastianie.

Przesyłam ci fiolkę z FMV. Wybierz jednego spośród was, który zajmie twoje miejsce. Wiem, że wybierzesz mądrze. Wybrany wkrótce cię zastąpi. Gdy twoja przemiana dobiegnie końca, udasz się ze mną na planetę naszych królów. Spiesz się! Doszły mnie słuchy, że budowa fabryki na

terenach leżących nieopodal twojej posiadłości, może zagrozić tunelowi, który do niej prowadzi. Potem wracaj jak najszybciej, niedługo odwiedzi nas sam książę Xirix. Chciałbym abyś poznał go osobiście, jako jeden z moich najbardziej zaufanych ludzi.

Z pozdrowieniami,

Albert

Nie wierzyłem w to, co przeczytałem. Włożyłem list z powrotem do koperty. Jak podniosłem wzrok, w lusterku wstecznym zobaczyłem serię świateł.

– Jadą po mnie? Czy to tylko zbieg okoliczności? – zapytałem na głos sam siebie.

Postanowiłem nie sprawdzać. Wcisnąłem gaz i z piskiem opon ruszyłem w stronę rodzinnego miasteczka, w stronę domu...

2025-01-04 v41.1